(1874–75)
47-48
• 22–29 • XI • 1981 r.

ŚWIERSZCZYK

Tygodnik dla młodszych dzieci

Wyskoczyła kukułka z zegara:
– Pora wstawać!
Ku-ku!
Po-ra wsta-wać!

Już wesoło dzwonią tramwaje,
już do pracy całe miasto wstaje.
Ku-ku!
Nie bądź śpiochem
i leniem.
Szkoła czeka...
Zamówiłeś u mnie budzenie.

T. Chwastek-Latuszkowa

Rys. Ewa Salamon

Cena 8 zł

POŚWIADCZY TO KAŻDY PILOT

Podczas tegorocznych wakacji pojechałem z Łukaszem na parę dni do Krakowa. Prócz starych, krakowskich zabytków chcieliśmy zobaczyć Muzeum Lotnictwa i Astronautyki. Któregoś dnia pojechaliśmy tam.

Na dawnym, nieczynnym już lotnisku, w starym hangarze stoją samoloty, szybowce, silniki.

Przed jednym z tych samolotów, myśliwcem polskiej konstrukcji, staliśmy najdłużej. Była to maszyna PZL P11 C, o charakterystycznej sylwetce[1]. Gdy patrzy się na samolot z przodu, wygląda tak, jak na rysunku. Widzicie, jakie ma skrzydła? Załamane przy kadłubie. To po to, aby pilot miał lepszą widoczność z kabiny. Żadne inne samoloty nie miały takich skrzydeł, tylko nasze. Dlatego nazywano je ,,polskim płatem".

Wspaniałe to były maszyny. Mimo iż niemieckie Messerschmitty były szybsze i lepiej uzbrojone, to nasze ,,jedenastki" – bo tak popularnie zwano te myśliwce – przyczyniały im wiele kłopotu. Zestrzeliły we wrześniu 1939 roku 126 nieprzyjacielskich samolotów.

I taka ostatnia ,,jedenastka" stoi teraz w muzeum, gdzie można z bliska zobaczyć, jak wyglądał polski samolot myśliwski skonstruowany przez inżyniera Zygmunta Puławskiego, a ulepszony przez inżyniera Jakimiuka.

Zadumani wróciliśmy do hotelowego pokoju i siedliśmy w głębokich fotelach. Każdy z nas zamyślił się o bohaterskich polskich lotnikach i ich samolotach.

Wtem rozległo się pukanie do drzwi, które po chwili uchyliły się cichutko i do pokoju weszła dziwna postać. Ubrana w ciemnogranatowy kombinezon, na głowie miała skórzaną czapkę pilotkę, a na czole okulary podobne do tych, jakie noszą narciarze.

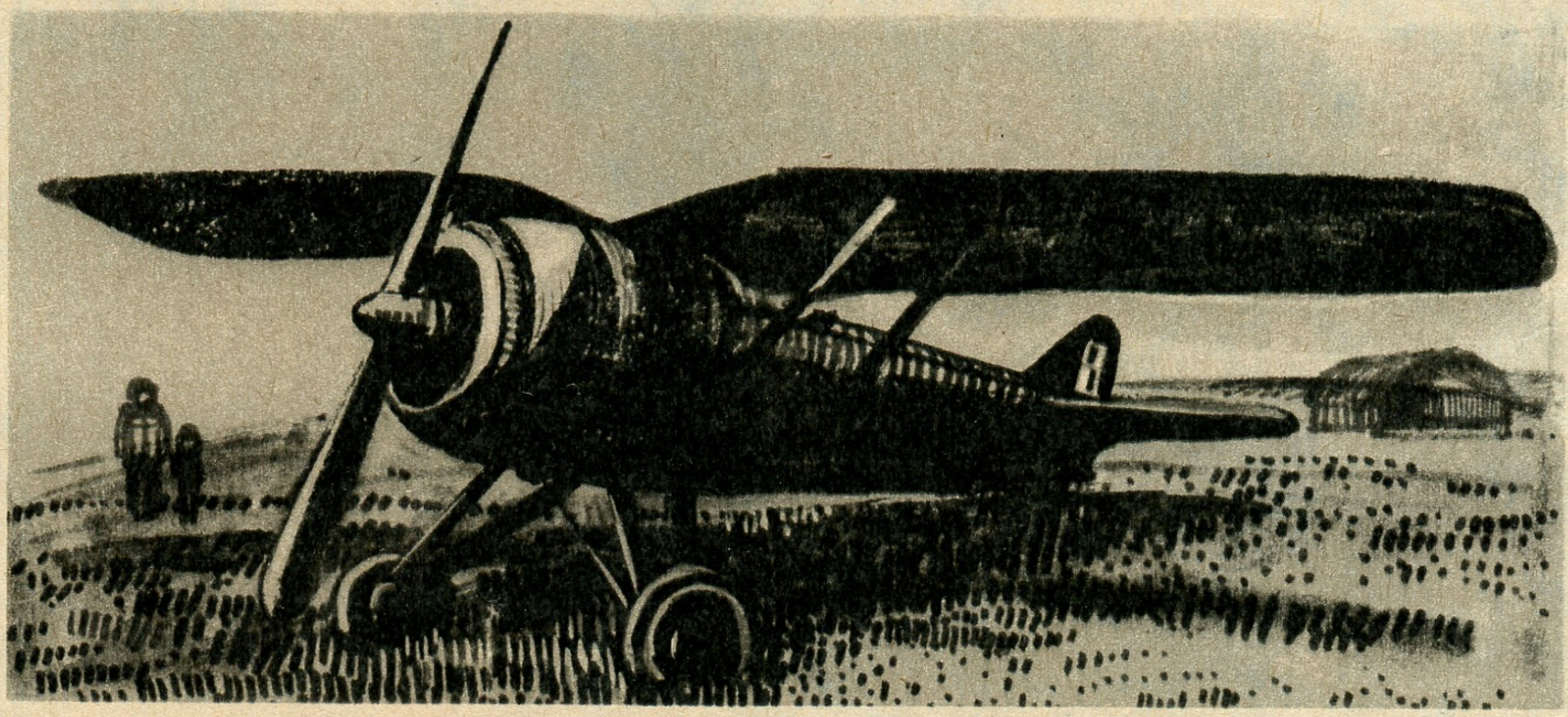

– Nie poznajecie mnie? – spytała postać.

– Nie. Kim pan jest? – powiedział Łukasz.

– Od ostatniej przygody, kiedy byliśmy na rycerskim turnieju, minęło trochę czasu. Ale nie przypuszczam, abym aż tak się zmienił!

– Czarodziej! Hura! – zawołał Łukasz. – Czuję, że zbliża się nowa przygoda!

– Po to się właśnie zjawiłem... Pośpieszcie się – powiedział tajemniczo.

W mig byliśmy koło znajomej bryczki i jak zawsze w czasie naszych wspólnych przygód, pędziliśmy szybciej niż najszybsze samochody i, zanim zdążyliśmy się zorientować, dokąd wiezie nas nasz konik, już byliśmy przed hangarem, na starym, opuszczonym lotnisku.

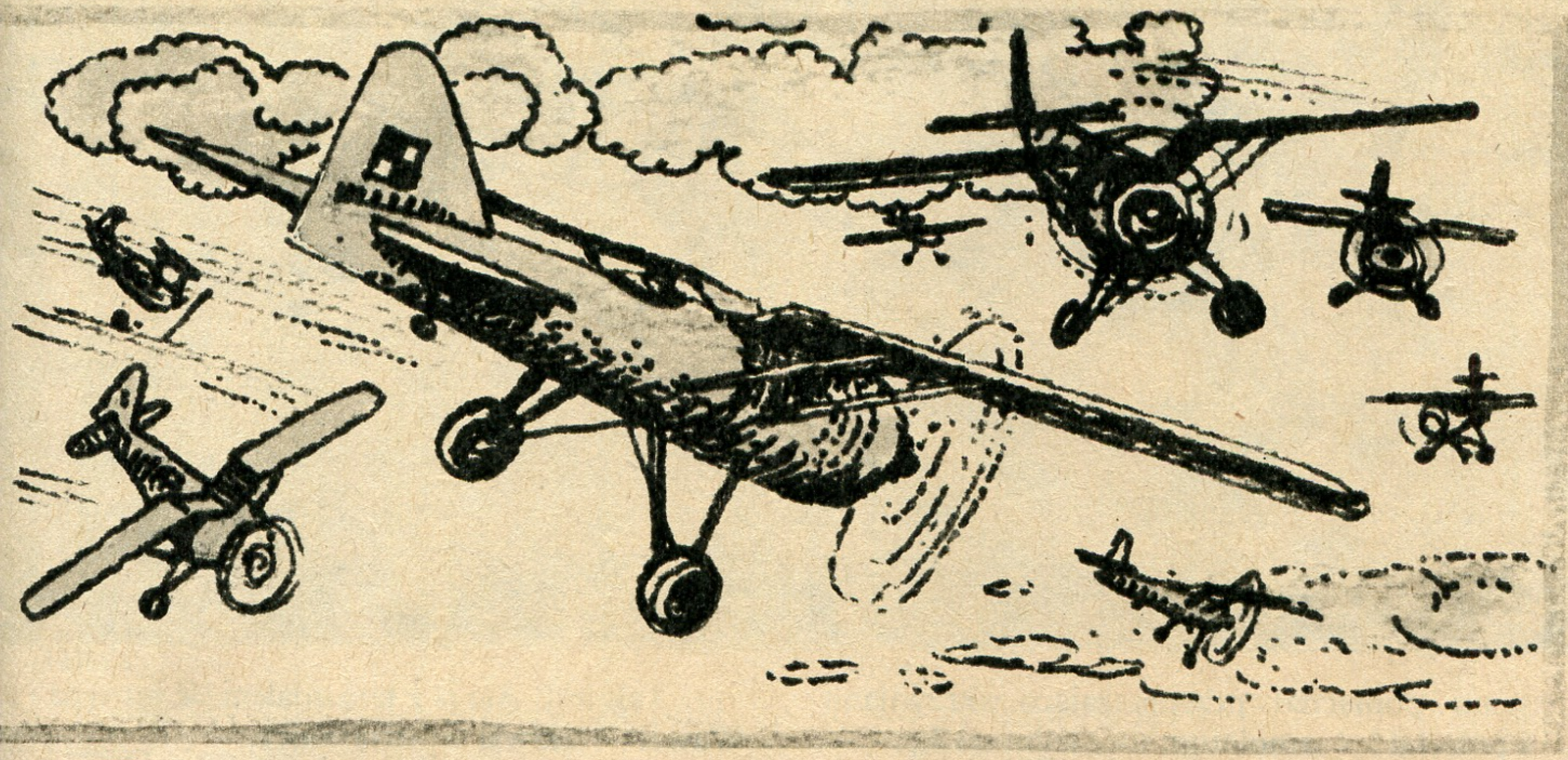

Rys. Maria Mackiewicz

– Wysiadać! Koniec podróży! – zawołał czarodziej.

Wyskoczyliśmy z bryczki i... aż nam dech zaparło! Na murawie lotniska, przed pasem startowym, stały równym szeregiem słynne „jedenastki".

– Przyjechaliśmy na lotnisko krakowskiego dywizjonu myśliwskiego. Zaraz rozpoczną się ćwiczenia. Chodźcie do magazynu, musicie się przecież przebrać – powiedział nasz opiekun.

W magazynie dostaliśmy kombinezony i poszliśmy na odprawę pilotów, którą prowadził dowódca dywizjonu[2]. Piloci siedzieli przy stolikach i słuchali słów dowódcy.

– Dziś odbędą się ćwiczenia specjalne. Walka powietrzna między eskadrami. Eskadra pierwsza to będą nieprzyjaciele, eskadra druga będzie broniła lotniska. Są pytania? Nie ma? Uważajcie, żeby nie było kraksy! Do maszyn!

Piloci wybiegli. Wskoczyli do kabin. Mechanicy rozkręcali śmigła, a gdy silniki zaczęły działać, samoloty powoli wjeżdżały na pas startowy, rozpędzały się i unosiły w powietrze.

Mignęła mi jedna z „jedenastek", która najszybciej wzbiła się w górę. Z kabiny ktoś pomachał mi ręką i samolot, z rykiem silnika, wzbił się stromo w obłoki.

– A temu gdzie się tak spieszy? – usłyszałem nagle głos dowódcy, który obserwował start przez lornetkę.

Tymczasem wszystkie samoloty były już w powietrzu. Zaczynały się ustawiać do walki, przyjmując najdogodniejsze pozycje.

I wtedy się zaczęło! Samoloty nurkowały, goniły jeden za drugim, pojawiały się nagle przed sobą, niemal cudem unikając zderzenia. Inne opadały ku ziemi udając, że zostały trafione, a tuż nad nią wyrównywały lot i z grzmotem rwały ku górze.

Nagle, tuż nad naszymi głowami rozległ się taki świst, że aż przykucnęliśmy. Z wyłączonym silnikiem, cicho jak szybowiec przemknął nad nami myśliwiec, zrobił zwrot i zaczął nurkować na nas i stojący za nami hangar.

– Padnij! – zawołał dowódca. Klapnęliśmy w trawę.

– Atakuje nas i hangary! To pewnie znowu Meissner[3]. Nikt inny nie wpadłby na ten pomysł! – denerwował się dowódca, leżąc na brzuchu.

Tymczasem pilot widocznie uznał, że hangar został „zniszczony", bo przelatując nad

---

[1] **Skrót PZL oznacza: Polskie Zakłady Lotnicze. Samolot ten jest jedynym, zachowanym na świecie. Brał udział w II wojnie światowej. Jest postrzelany na kadłubie i przy kabinie pilota. Służył w dywizjonie „Kraków".**

[2] **Dywizjon liczył 2 lub 3 eskadry (w których było 6 do 12, czasem więcej samolotów). Można powiedzieć, że w dywizjonie było ponad 20 samolotów.**

[3] **Janusz Meissner (1901–1978) – autor pięknych książek o tematyce lotniczej, był również świetnym pilotem. Pewnego razu przeleciał niziutko między domami wąską ulicą Sienkiewicza w Krakowie. Podczas II wojny światowej latał również na samolotach myśliwskich we Francji i Wielkiej Brytanii. Był komendantem Szkoły Pilotów. Napisał książki: „Szkoła Orląt", „Dla zwycięstwa", „Żądło »Genowefy«", „L – jak Lucy".**

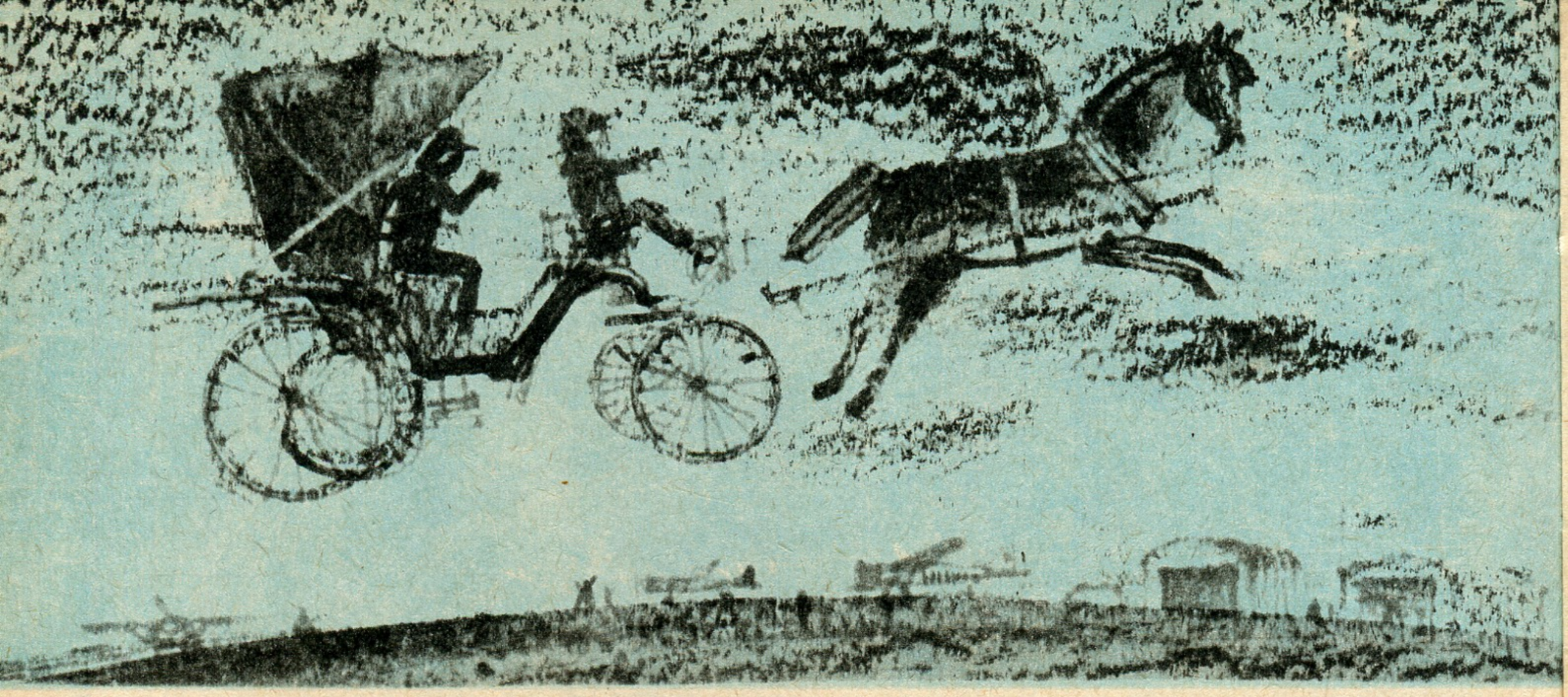

nami pomachał przepraszająco skrzydłami i poleciał ku samolotom toczącym walkę.

– Machaj, machaj! Już ja ci pomacham, jak wylądujesz! – zawołał dowódca. – Po ćwiczeniach pilot ma się natychmiast u mnie zameldować – rozkazał adiutantowi.

A tymczasem samoloty zaczęły formować szyk do lądowania. Jeden za drugim siadały na pasie i toczyły się przed dowódcę dywizjonu.

Na końcu wylądował szalony myśliwiec. Pilot miał wielkie okulary zasłaniające twarz i radośnie machał nam ręką. Adiutant podbiegł do wolno sunącego po trawie samolotu. Maszyna stanęła, a pilot wyskoczył z kabiny. Po chwili szedł w naszym kierunku.

– Pilot myśliwski Łukasz melduje się na rozkaz! – wyrecytował stając na baczność i salutując.

Dowódca zrobił się blady. A ja dopiero teraz spostrzegłem, że mój niesforny syn nie stoi w drzwiach hangaru, że nie ma go przy nas.

– Łukasz?! Kto wam pozwolił?! – krzyczał dowódca. – Przecież nie mieliście próbnych walk! Mogliście rozbić maszynę i sami pofrunąć do aniołków! Przez tydzień nie dostaniecie przepustki! Zrozumiano!

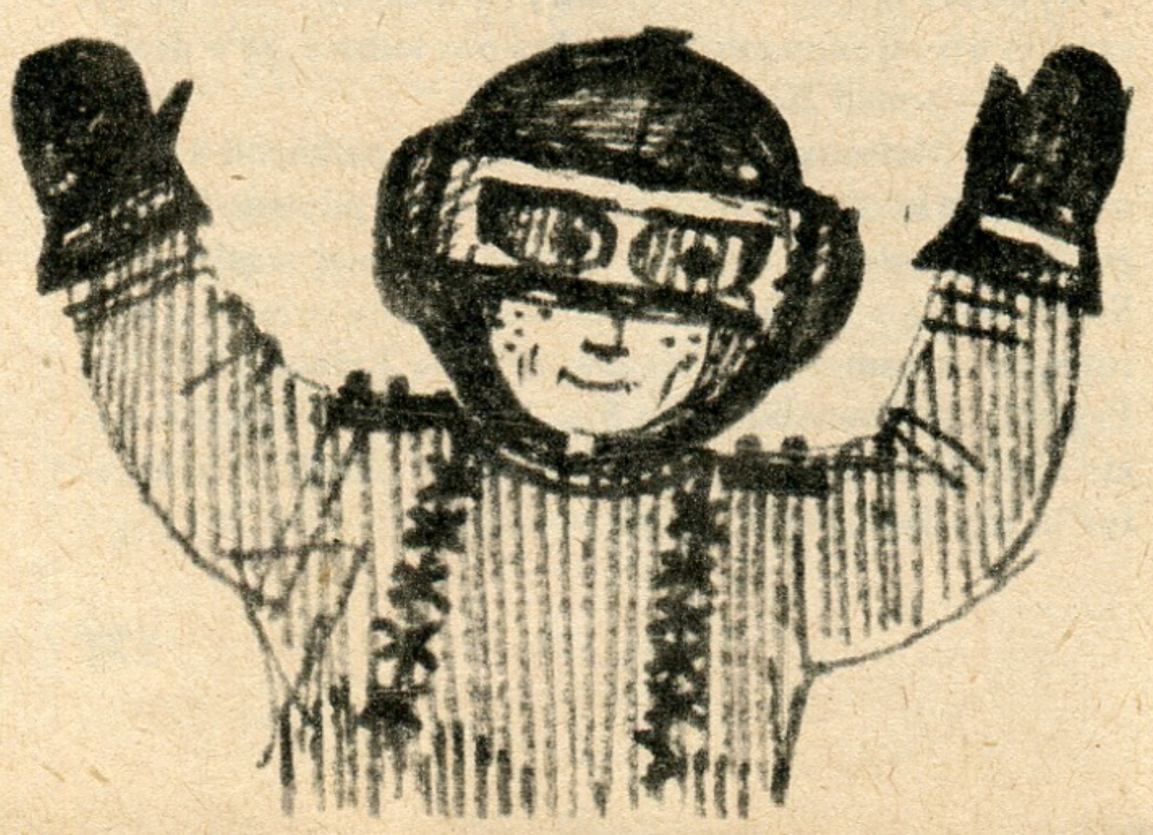

– Tak jest! Ale ja z tatą miałem iść jutro na Wawel – odezwał się winowajca.

– Z jakim „Tatą"? Nie znam takiego pilota! Coście znowu wymyślili?! Co ja mam z tymi chłopakami – dodał zwracając się do mnie – świetnie latają, ale tylko im dowcipy w głowach.

– To mój syn – wyjaśniłem. – Robił już różne rzeczy, ale pilotem myśliwskim był pierwszy raz.

– Jak to? Pierwszy raz? Na samolocie? – pytał zdziwiony dowódca.

– Melduję, że nie. Latałem już bryczką – powiedział Łukasz i pokazał ręką na wolno toczącą się po trawie bryczkę czarodzieja.

Wskoczyliśmy do niej szybko. Koń poderwał się do galopu i po chwili przelecieliśmy nad lotniskiem. W dole zostały małe, ciemnozielone samoloty z biało-czerwonymi szachownicami na skrzydłach. Przy nich kręcili się piloci i mechanicy, z boku stali dowódca z adiutantem i przysłoniwszy oczy ręką, patrzyli w naszym kierunku.

– Wiesz, tato, nie przypuszczałem, że „jedenastka" to taki świetny myśliwiec. Widoczność znakomita, lekki, czuły. Można było wyłączyć silnik i lecieć jak szybowcem! – entuzjazmował się mój syn, machając rękami.

To prawda. W krakowskim Muzeum Lotnictwa i Astronautyki – stoi polski samolot, myśliwiec PZL-P11 C – jedyny, jaki pozostał na świecie. Wspaniała maszyna! Poświadczy to każdy pilot.

Wojciech Marczyk

Dziwna lekcja

Pani już przy swoim stoliku, lekcja się zaczyna, a drzwi nie zamknięte. Kto wchodził ostatni? Nie ma takiego.

– Zamknij drzwi! – zwraca się pani do Tomka, który siedzi w pierwszej ławce.

Chłopiec chwycił klamkę, szarpnął. Drzwi strzeliły jak rakieta.

– Źle! – powiedziała pani. I spytała:

– Kto zamknie tak, jak trzeba?

Podniosło się wtedy wiele rąk.

– No, to Piotrek.

Piotr wybiegł z ławki, chwycił klamkę, pociągnął.

– Dobrze?

– Doskonale! – krzyczą dzieci.

– Źle – mówi pani.

– Źle? – dziwią się chłopcy i dziewczynki. Przecież drzwi są zamknięte.

Ale pani mówi:

– Następny.

Podszedł, zamknął. A pani pyta:

– Dobrze?

– Dobrze! – odpowiada cała klasa.

– Źle.

I tak trwało dopóty, aż do drzwi podeszła Dorotka. Dzieci się dziwią.

– Przecież wszyscy zamykali tak samo.

– Czy naprawdę?

– Ależ tak.

– Dorotko, zrób to jeszcze raz.

Dziewczynka poszła, otworzyła, zamknęła. A pani:

– Tak samo?

Dzieci nie wiedzą, co odpowiedzieć.

– A ty, Dorotko?

– Ja zamykałam cicho, oni głośno.

– No, właśnie – mówi pani.

Aleksy Tyczyński

Rys. Maria Mackiewicz

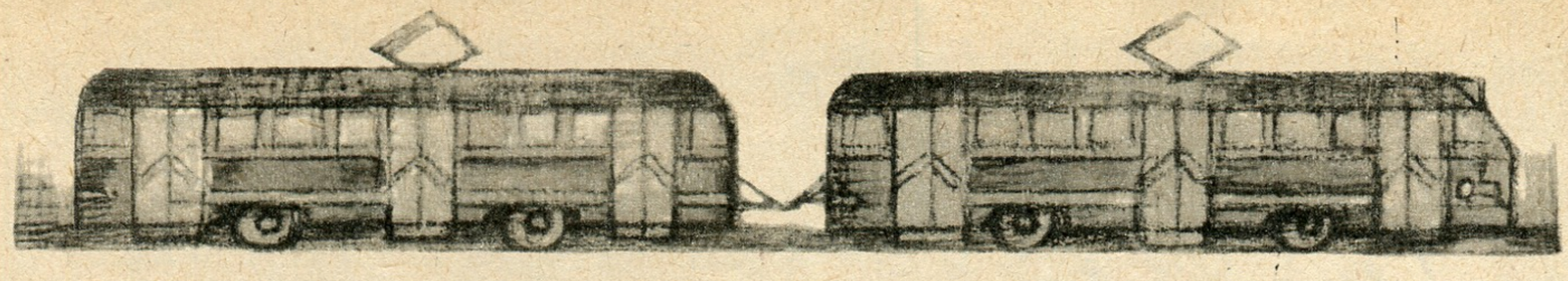

BUKIET

Mama wraca z pracy zmęczona
i zaraz
bierze nas w ramiona.
I opowiada króciutko,
jak jeździła „szóstką" po Targowej.
Bo mama jest kierowcą tramwaju.
Tramwaje jej się słuchają.
I my też.

Witek biegnie już po ziemniaki,
a ja po chleb.
A na ulicy – tyle płatków śniegu.
Żeby tak jeszcze móc
tych płatków śniegowych bukiet
przynieść zmęczonej mamie –
do ziemniaków,
do chleba,
na stół...

Ewa Skarżyńska

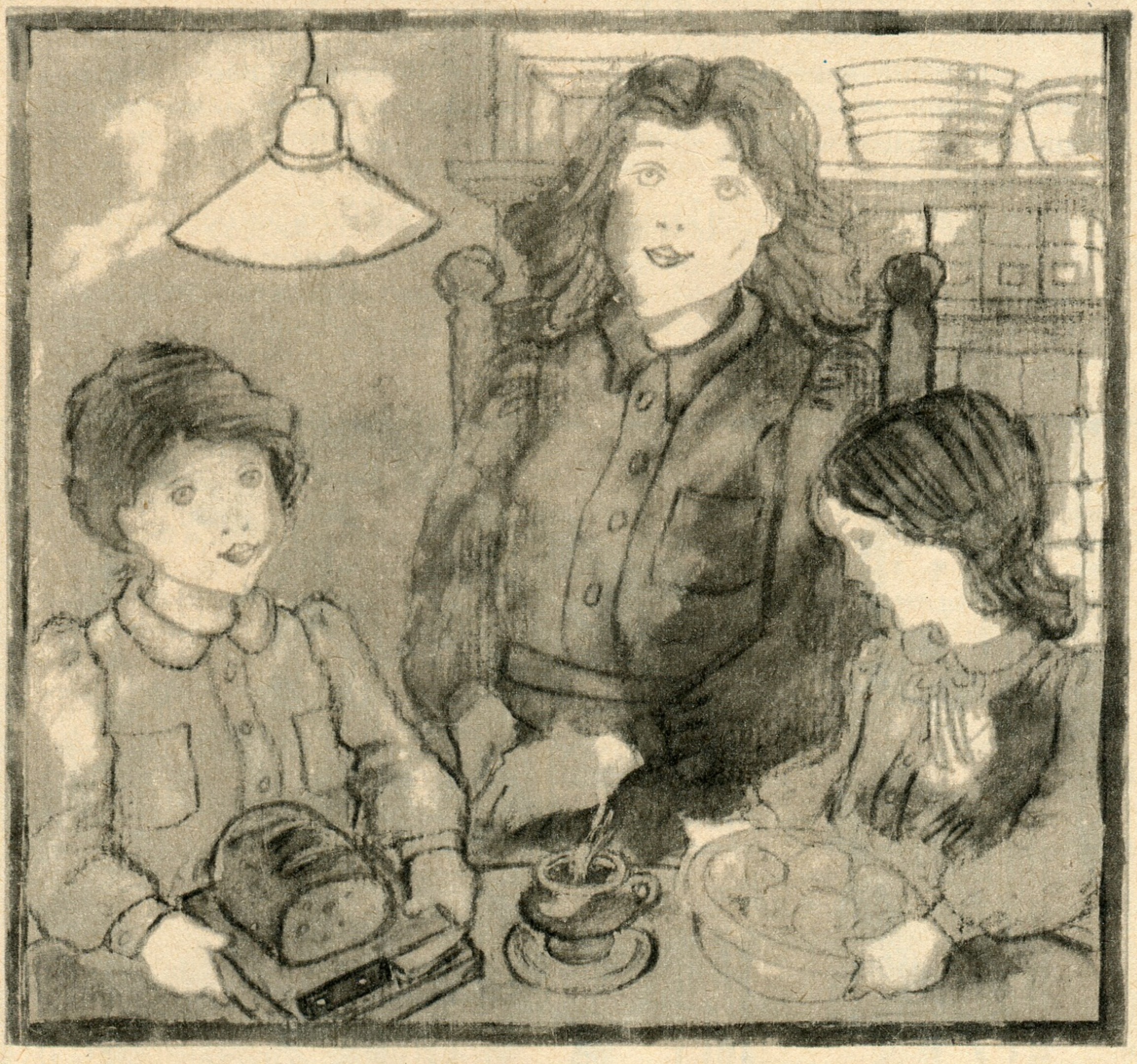

Rys. Danuta Konwicka

ROBINSON KRUZOE

Gdy kołdra – morzem,
ja staję się parostatkiem.

Oto okręt się cofa
i rozbija o wyspę poduszki.
Uratować się muszę.

Hej! Bezludna wyspo,
będę Robinsonem.

A ty misiu – Piętaszku,
nad zatoką kuchni,
szukaj obłoczka pary.

Bo płynie do nas
herbaciany statek
mamy.

Stanisław Grabowski

KŁOPOTY DOROTY

Znam już
książkę o Muminkach
bajkę „O koniku Garbusku"
wiersze „O listach
– jak liście zielonych"
i lubię czytać.

Ale jak mam policzyć
bez patyczków i liczydeł
gwiazdy, co wieczorem
w mój sen zaglądają?
Jak policzyć przyjaciół,
co dzień – dobrym czynią?
Jak policzyć rysunki
mrozu na szybach
moich sąsiadów?

Jak śniegowe gwiazdki
zliczyć, co prosto w dłonie
spadają i żyją jedną chwilę?

Zofia Olek-Redlarska

Rys. *Halina Zakrzewska*

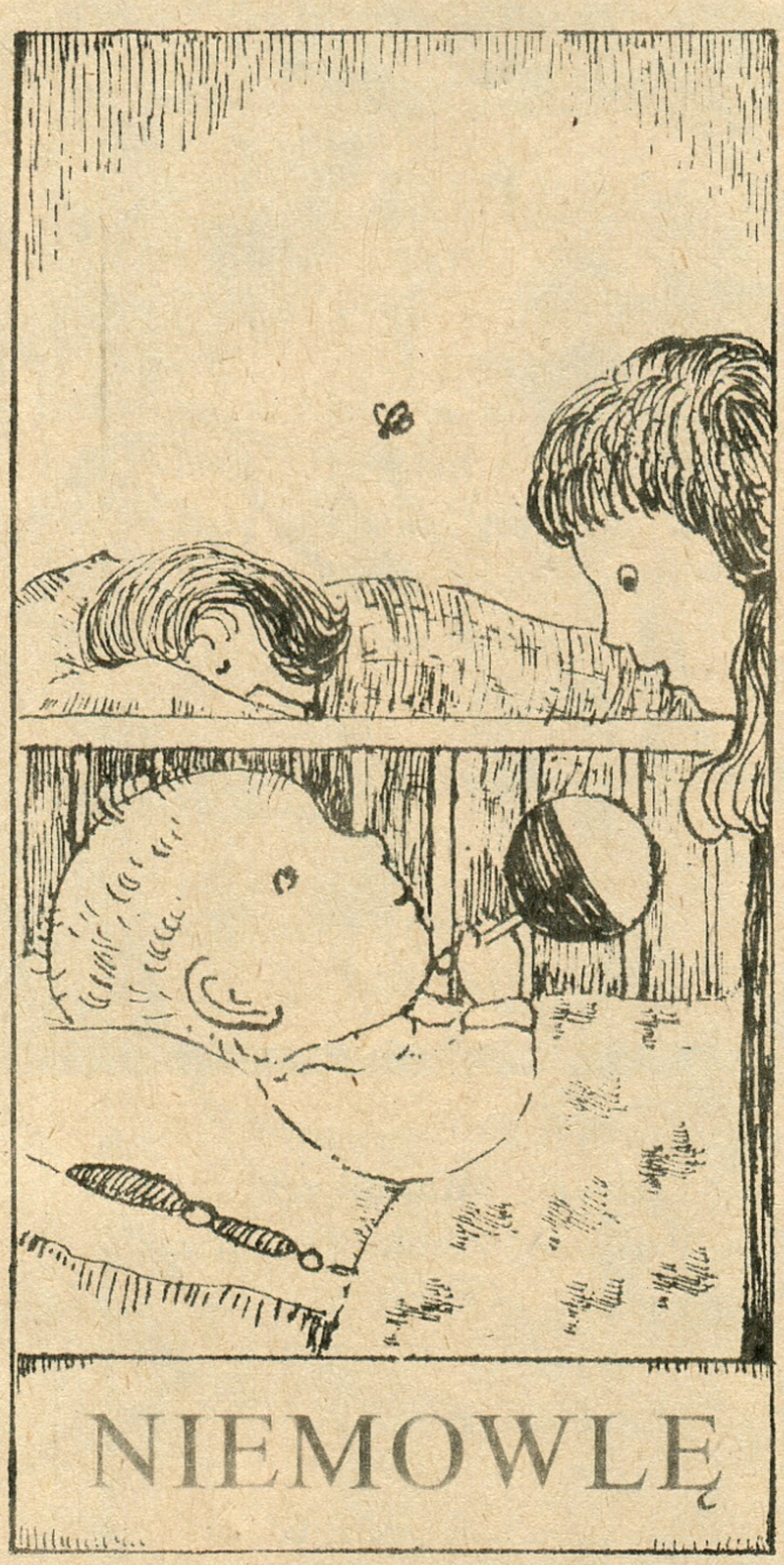

NIEMOWLĘ

– Ładną mam książkę? – zapytała Lucia i pokazała Bartusiowi kolorowe baśnie, które wczoraj przyniósł jej wujek.

– Blee, bee... – potwierdził braciszek i wyciągnął ręce do kolorowej okładki.

– Co to, to nie, nie dam ci tego palcem tknąć, weź sobie swoją grzechotkę – powiedziała dziewczynka i ciężko westchnęła. Poprawiła dziecku kocyk, przyjrzała się łysej główce i aż jęknęła z zazdrości.

– Tobie to dobrze. A ja teraz muszę odrabiać lekcje, wciąż uczyć się i uczyć...

– A myślisz, że ja się nie uczę? – odpowiedział nagle Bartek głosem dziwnie podobnym do głosu mamy, która leżała obok na tapczanie i drzemała z głową wtuloną w poduszkę. – Przez rok albo dwa lata uczę się języka. Proszę bardzo, spróbuj ty nauczyć się jakiegoś języka w tak krótkim czasie! Przez ten sam rok uczę się, do czego służą różne przedmioty i jak się nimi posługiwać. Przecież kiedy się urodziłem, nie wiedziałem w ogóle nic. Nic! Rozumiesz? A zaobserwuj, ile rzeczy umie już roczne czy dwuletnie dziecko. Musiało się tego nauczyć, może nie?

Lucia stała z otwartymi ustami i patrzyła na braciszka, który wodził wzrokiem za latającą nad tapczanem muchą. „Chyba mi się coś przyśniło" – pomyślała dziewczynka i zaczęła wypróbowywać nowiutkie flamastry. Zielony był jakby trochę podeschnięty... Może Wojtek ma dwa zielone?

– Wojtek! – zawołała Lucia, ale przypomniała sobie, że przecież mama śpi i poszła do kuchni. – Wojtek, poszukaj, może masz niepotrzebny zielony flamaster?

Wojtek wszedł do pokoju i zaczął niemrawo grzebać w szufladzie.

– Może i mam – powiedział – ale tu jest taki bałagan... Kto chce, to zagląda do mojego biurka. Kora tu czegoś szuka, ty czegoś szukasz... A potem każdy ma do mnie pretensję nie wiadomo o co...

– Cha, cha – zaśmiał się Bartuś. – Mają pretensję, bo jesteś bałaganiarzem. Nikt ci twojej szuflady nie rusza, leżę tu, to widzę. Ale o co do mnie macie pretensję? Że nie lubię tej obrzydliwej zupki z marchwi? A może ty byś ją jadł? Ja przecież nie mogę wiedzieć, że ona jest zdrowa. A za co dziś na mnie nakrzyczałeś? Że zmoczyłem pieluszkę? Może miałem wstać i iść do ubikacji? A Lucia ma pretensję, że płakałem w nocy i obudziłem cały dom. Brzuch mnie bolał, to co człowiek w moim wieku ma robić? Zadzwonić na pogotowie? „Dobry wieczór, tu mówi niemowlę Bartosz. Proszę przyjechać i wymasować mi brzuszek. I przywieźć koperek. Dziękuję, czekam, tylko proszę cicho dzwonić do drzwi, bo nie daj Boże rodzeństwo się obudzi". Tak?

Wojtek zastygł przy rozgrzebanej szufladzie, z zielonym flamastrem w ręce.

– Lucyna, co się tu dzieje? Czy Bartuś oszalał? Wezmę go na ręce, może coś...

– I w ogóle – odezwało się znowu niemowlę wypluwając smoczek. – Wypraszam sobie tę

ciągłą szarpaninę. A wy tak lubicie, jak was ciągle całują? Kto chce, to mnie odkrywa, zakrywa, podnosi, kładzie, przewraca, podszczypuje i mówi do mnie jakieś głupie „tititi-ti, eciepecie". Owszem, lubię, kiedy się mną zajmujecie, ale wszystko we właściwej porze, zakrywajcie mnie, kiedy jest zimno, a odkrywajcie, kiedy jest gorąco, a nie odwrotnie. Ja się przecież nie mogę bronić, a chyba jestem człowiekiem, może nie?

– Nie przesadzaj – mimo woli wdał się w rozmowę z braciszkiem zupełnie ogłupiały Wojtek. – Pomyślałby ktoś, że tak tu ciebie męczą. Cały dom wokół smarkacza się kręci, a temu jeszcze źle. Od czasu, kiedy się urodziłeś, chwili spokoju nie ma...

– Daj spokój – wtrąciła się Lucia – tak mówisz, jakby ci Bartuś przeszkadzał. Pewnie, że spokoju to nie ma, ale za to jest takie słodkie dziecko, taki pimpuś malutki, taki ciapulinek słodki...

– O, właśnie – powiedział Bartuś – przestań mnie nazywać jakimiś głupimi imionami. „Ciapulinek"... co to jest takiego?

Wojtek zamrugał oczami i nagle zaczął się śmiać.

– Masz pojęcie? – powiedział – Chyba zasnąłem na stojąco. Śniło mi się, że Bartek gadał...

Lucia spojrzała na starszego brata i chciała coś odpowiedzieć, ale właśnie na tapczanie zafalował koc i głowa mamy wyłoniła się z poduszek.

– O, jesteście – mruknęła mamusia zaspanym głosem. – Myślałam, że bawicie się na podwórku.

– Naprawdę tak myślałaś? – zapytała podejrzliwie Lucia.

– Nie naprawdę – uśmiechnęła się mama. I potem wszyscy zaczęli się śmiać. A najgłośniej chichotał Bartek.

Irena Landau

WIELKIE PRANIE

Pralka dziś zła jest niesłychanie.
Znowu ją czeka wielkie pranie!

Na spory stos bielizny zerka:
– To nie przelewki,
nie przepierka!

Koszula taty cała w smarach.
Właśnie przed chwilą zamknął garaż!

Spódnicę mamy
olej splamił.
Spodenki brata...
Spójrzcie sami!

Ja?...
Na podwórku i tym razem
znowu musiałem być bramkarzem!...

Władysław Katarzyński

Książkę tę napisał Kornel Makuszyński, autor wielu ciekawych powieści dla dzieci i młodzieży.

Być może czytaliście „Przygody koziołka Matołka" albo „Awantury i wybryki małej małpki Fiki-Miki"?

W pierwszym cyklu tych wesołych historyjek obrazkowych sympatyczny koziołek wybrał się na poszukiwanie Pacanowa, gdzie „kozy kują", i miał mnóstwo przygód. W drugim cyklu małpka i Murzynek postanowili odwiedzić Matołka i wybrali się do Polski aż z dalekiej Arabii.

Dziś proponuję Wam, abyście wypożyczyli z biblioteki książkę „Awantura o Basię". Bohaterką tej książki jest mała dziewczynka, Basia. Opiekowali się nią chwilowo obcy ludzie. A dlaczego tak było – dowiecie się na początku książki. Ja powiem Wam tylko, że Basię wysłano zupełnie samą pociągiem do Warszawy i że adres, pod który miano ją zaprowadzić, wypisany był na kartce, a kartkę zawieszono jej na szyi.

Jedna z pasażerek z przedziału, w którym jechała Basia, kupiła na dworcu szklankę gorącego mleka i poczęstowała dziewczynkę.

I wtedy stało się, jak pisze Kornel Makuszyński – „na pozór małe, a w rzeczywistości wielkie nieszczęście". Cała szklanka mleka wylała się na kartkę zapisaną chemicznym ołówkiem. Adres stał się nieczytelny. A na dworcu w Warszawie nikt się po Basię nie zgłosił, nikt nie czekał. Jeden z podróżnych, stary aktor Walicki, zabrał więc Basię do swojego domu.

●

Walicki miał małe mieszkanko w Warszawie, zajmowane do spółki z młodym aktorem Szotem; był to aktor początkujący i grywał role nie wymagające zbytniego wysiłku. Walicki nigdy nie zgrzytał na niego zębami ani nie mordował go spojrzeniem, Szot bowiem był serdecznym, wesołym chłopcem, zawsze uśmiechniętym i zadowolonym z życia. Wierzył w swoją przyszłość i śmiał się, chociaż często był głodny.

Właśnie przyszywał sobie guzik do kamizelki, gdy usłyszał gwałtowne kopnięcie nogą w drzwi i rozpaczą wydęty głos Walickiego:

– Otwieraj!

– Otwórz sam – odkrzyknął. – Drzwi nie są zamknięte!

Przyjaciel wrzasnął raz jeszcze okropnym basem:

– Otwieraj, łotrze!

Szot mało sobie robił ze zbójeckich okrzyków, na jeden moment jednak przestał szyć, bo inny głosik, cienki jak jedwabna nitka, powtórzył z piskiem:

– Otwieraj, łotrze!

Wiedział o tym, że Walicki potrafi swój głos, gruby jak okrętowa lina, zmienić w cienki sznurek, ale żeby aż tak... Zaciekawiony otworzył drzwi i cofnął się o dwa kroki. Walicki patrzył w niego ponuro, a dziewczynka na jego ręku usiłowała też okrutną miną dać wyraz swojemu niezadowoleniu.

– Antoś! – krzyknął Szot. – Żebym tak zdrów był... Gdzieżeś to znalazł?

– W pociągu – odrzekł Walicki okopconym głosem. – Bierz ją! Zaraz ci wszystko opowiem...

Wesoły Szot zdjął z Basi płaszczyk i posadził ją na krześle; ujrzawszy zamazaną kartkę, roześmiał się głośno. Dziewczyny nie trzeba było namawiać dwa razy do śmiechu, więc wcale wesoło uczyniło się w smętnym pokoju na trzecim piętrze.

Walicki opowiedział towarzyszowi o całej awanturze rozdzielając zdania sapaniem, pomrukami, okrzykami i zgrzytaniem. Basia zaś pomagała z całej duszy.

– To strasznie wesoły berbeć! – rzekł Szot z serdecznym uznaniem, patrząc na pucołowatą, zarumienioną twarzyczkę. – Nie rób takich min, bo przestraszysz dziecko!

– Ja? Przestraszyć? Zaraz ci pokażę.

Walicki wybrał ze swego repertuaru taką minę, która poczciwemu człowiekowi mogła postawić dębem wszystkie włosy na głowie; wyszczerzył zęby, oczy skrzywił zezem i wydał z siebie pomruk rozsrożonego niedźwiedzia. Basia pisnęła z zachwytu i podskoczywszy zbliżyła się do jego poczwarnej twarzy udając, że go straszy.

– Widziałeś? Wcale się mnie nie boi – rzekł z żalem w głosie.

– Wcale się nie boję! – potwierdziła Basia.

– A kochasz tego pana? – zapytał Szot.

– Bardzo kocham! – ogłosiła z entuzjazmem.

Stary aktor usiłował spojrzeć na nią czule, ale nadaremnie czynił z gębą rozmaite sztuki. Zdawało się, że się zawstydził.

– Dziecko musi być zmęczone, niech się prześpi, a my pogadamy – powiedział cicho.

Zdjął nieszczęsną kartkę z jej szyi i razem z przyjacielem rozpoczął tłumaczyć dziewczynce, że przyzwoite, rozsądne osobistości w jej wieku powinny snem pokrzepić nadwątlone w podróży siły. Basia jednak starała się wytłumaczyć im na swój sposób, że poznawszy tak miłego młodzieńca, jakim jest pan Szot, nie myśli czasu marnować na sen.

– Basiu! – rzekł Walicki usiłując głos uczynić wielce przymilnym. – Czy pójdziesz spać, jeśli ci opowiem bajkę?

– Pójdę!

– No, to jazda!

– Miarkuj się – zaśmiał się Szot. – Przemawiasz do kobiety!

Walicki zabił go na krótki czas morderczym spojrzeniem i czym prędzej przygotował posłanie na ceratowej kanapie. Ułożył na niej dziewczynkę i rzekł:

– Śpij teraz spokojnie!

– A gdzie bajka? – zawołała Basia.

– Natychmiast opowiedz bajkę! – krzyknął Szot. – Nie wolno cyganić!

– Dam ja ci bajkę, ty koniu! – zamruczał aktor. – Jaką chcesz bajkę, Basiu, wesołą, czy smutną?

– I wesołą, i smutną!

Walicki, zerkając w stronę przyjaciela, czy się z niego nie naigrawa, zaczął opowiadać ni w pięć, ni w dziewięć. Przypomniawszy sobie co prędzej kilka bajek, pomieszał je jak groch z kapustą, zszywał je niezręcznie i stworzył jakiś piekielny utwór, nadziany diabłami i gadającymi zwierzętami. Dziewczynka słuchała uważnie, wkrótce jednak wybitny jej umysł zrozumiał, że miły wujaszek szachruje, a dobry jej smak okazał wyraźne zniechęcenie.

– E! taka bajka... – powiedziała sennie.

– Śpi! – szepnął Szot. – Uważaj teraz, abyś nagle nie zazgrzytał.

– Powinienem ci kark skręcić – mówił Walicki, jak tylko umiał najciszej – ale to sobie odłożę na później. Dawaj tę kartkę!

– Nic z tego nie można odczytać – mówił cicho Szot. – Przynajmniej bardzo mało.

Pochylili się nad kartką jak przyrodnicy nad mikroskopem.

– Same łzy! – mruknął aktor. – Ty masz lepsze oczy... Jaka to może być litera?

– W każdym razie wielka litera, bo i plama większa. Może to być T, może być P. Czekaj! To jest z całą pewnością t, małe t... Druga litera z rzędu. Przypuściwszy, że jest to imię tajemniczej osoby, należy pomyśleć, jakie imiona mają literę t – drugą z kolei.

Dalsza część na str. 58

Rys. Ewa Salamon

Nocne spotkanie

W Finlandii wszyscy wierzą, że domowe skrzaty przynoszą szczęście. Ze swych nocnych wypraw do innych wsi przynoszą również różne cenne rzeczy. Na przykład zboże i mąkę do spichlerzy, szczapy drewna do drewutni, a czasem nawet wsuną do kieszeni gospodarza jakiś pieniążek. Najczęściej jednak, niestety, skrzaty wzbogacają dobytek swych rodzinnych gospodarstw kosztem któregoś z sąsiadów.

W pewnej gminie było niegdyś gospodarstwo Mikkola, w którym mieszkał niezwykle zapobiegliwy skrzat. W tej samej gminie, ale w innej wiosce, było gospodarstwo Kela, gdzie mieszkał skrzat równie skrzętny i obrotny

Oba skrzaty starały się w miarę swych możliwości wzbogacić zasoby swych gospodarzy i oba krzątały się dzielnie po nocach.

W Mikkoli nie było młyna, ale był duży las. W Keli znów nie było lasu, ale za to dobry młyn. Tak więc skrzat z Mikkoli dźwigał nocą

do domu przede wszystkim mąkę, a znów skrzat z Keli taszczył wielkie szczapy drewna. I obaj, oczywiście, zabierali te rzeczy właśnie z gospodarstwa drugiego.

Pewnego razu zdarzyło się, że skrzaty, wracając do domu ze swą zdobyczą, spotkały się nagle na mostku znajdującym się na niewielkiej rzeczce między obu gospodarstwami. Skrzat z Mikkoli ukrył pod koszulą worek mąki z młyna w Keli, skrzat z Keli natomiast schował pod kapotę całe naręcze szczap z lasu w Mikkoli. Na moście skrzaty zetknęły się nos w nos i niebawem wyszło na jaw, w jakiej sprawie każdy z nich wędruje.

– Co niesiesz? – spytał jeden.

– Niosę, bo i ty niesiesz – odparł drugi. Wystające spod kapoty szczapy zawadziły o worek z mąką i wkrótce na moście rozpętała się zażarta walka. Skrzaty schwyciły jeden drugiego za bary i starały się dobrać do ukrytych pod ubraniem zdobyczy.

Na moście powstał taki wrzask, że w gminie obudziło się wielu ludzi. Myśleli, że rozszalała się burza.

A nad mostkiem gęstym tumanem unosiła się mąka wylatująca z rozdartego worka w powietrze. Nieszczęsnemu skrzatowi z Keli zasypała oczy, a wówczas skrzat z Mikoli rozerwał mu kapotę od góry do dołu. Wyleciały ukryte w niej szczapy. Kręcąc się, spadły pod nogi skrzata z Mikkoli tak, że ten potknął się o nie i runął do rzeki na łeb, na szyję.

Oślepiony przez mąkę skrzat z Keli usiłując dostać się do domu, pobiegł w niewłaściwym kierunku. Skrzata z Mikkoli natomiast nurt rzeki unosił przez kilka kilometrów, zanim biedak zdołał wydostać się na brzeg. Był już późny ranek, kiedy oba skrzaty powróciły w opłakanym stanie do swych domów.

Od tej pory skrzat z Keli nie zachodził do Mikkoli ani też skrzat z Mikkoli nie zaglądał do Keli. Swoje nocne wyprawy odbywały oba w inne strony, a między nimi zapanowały poszanowanie i wieczna zgoda.

Mauri Kunnas
z fińskiego tłumaczyła Cecylia Lewandowska

Rys. Halina Zakrzewska

CZARUSZKOWO

Odcinek XIII

Radni zasiedli na podwyższeniu, publiczność wróciła na miejsca, kandydata usadowiono na tronie. Kapelmistrz uniósł batutę i w pełnej napięcia ciszy rozległ się wzmocniony przez megafony głos przewodniczącego:

– Obywatele! Ogłaszam, iż władze miejskie powzięły decyzję. Zgodnie jednak z wymaganiami Księgi Ustaw ostatnie słowo należy do kandydata. Zapytuję więc: Kukryku Odważny, kawalerze rodem z Wólki, czy gotów jesteś do objęcia stanowiska Złotego Kurka?

– Tak jest!

– Czy masz wolną, nieprzymuszoną wolę?

– Tak jest!

– A zatem wszem wobec ogłaszam wybór za dokonany!

Zagrały werble, zagrzmiała fanfara, rozległy się oklaski – po czym znów zapadła uroczysta cisza.

Do kandydata podszedł kominiarz Proch, ukłonił się cylindrem, naciągnął białe rękawiczki, aby ująć Kukryka pod skrzydła, lecz ten niespodziewanie wyszarpnął mu się z rąk i krzyknął:

– Nie życzę sobie pomocy, sam wejdę! Sam!

Wywołując ogólny podziw wskakuje na drabinę i podfruwa szczebel po szczeblu, jak z grzędy na grzędę, dzielnie wspina się do góry...

Sędzia Waga zawołał z entuzjazmem:

– Zuch, panie dziejku! Zuch!

– A nie mówiłem? – pochwalił się pan Fiolka i klepnął proboszcza po przygarbionych plecach. – Ja pierwszy na nim się poznałem!

W rozfalowanym tłumie podniosły się okrzyki:

– Hura! Brawo! Wiwat Kukryk Odważny!

Kwaczka, którą narzeczony czule trzymał pod skrzydełko, wyznała ze szczerym wzruszeniem:

– Ach, Kukrynio jest nadzwyczajny, wspaniały! Wielka szkoda, że Jeżyk teraz go nie widzi!

– Jaki Jeżyk? – zaniepokoił się Kajetan. – Kto to jest?

– A, pewien miły znajomek...

– Oj, pamiętaj, ptaszyno, że będę bardzo zazdrosny...

Gdy Odważny wspiął się wreszcie na wieżę, trzy razy trzepnął skrzydłami i trzykrotnie zapiał. W pewnym momencie zwrócił dziób w stronę ratusza, a wtedy... Wtedy drgnęły wskazówki zegara!

Pierwszy zauważył to ogrodnik Łodyga, przetarł oczy i huknął mocnym głosem:

– Patrzajcie, ludzie, zegar ruszył!

– Ojej, to dobry znak, dobra wróżba! – pisnęła pani Truchcikowa, padając w objęcia jakiegoś nieznanego strażaka.

– Zegar ruszył! Zegar chodzi! – brzmią dokoła okrzyki.

Wszystkich ogarnął entuzjazm – wymachują chusteczkami, podrzucają w górę kapelusze, chorągiewki, kwiaty...

•

Szewc Cholewka nie chciał być świadkiem triumfu Kukryka. Przygnębiony, drepcze w bamboszach po pokoju i wyrzeka:

– Kto mógł przypuszczać, że nas wykiwają!

– A może to i lepiej? – uspokaja go żona. – Co do mnie, to bardzo jestem zadowolona, że Kajcio u nas zostanie. Przecież wcale nie pragnął być kurkiem. Urządzimy wesele, prawda?

– Jakie wesele? O czym pleciesz?

– Chciałabym wyprawić Kajciowi piękne wesele – uśmiechnęła się, rozmarzona. – Sprosimy dużo gości...

– Gości, powiadasz? – zastanowił się. – To niezła myśl...

– No, widzisz. I u nas będzie zabawa.

– Zabawa, powiadasz? – rozchmurzył się. – Jak to, więc ten ślamazara Kajtek naprawdę chce się żenić?

– Ach, jak on się zakochał, jak się zakochał! Od pierwszego spojrzenia!

•

Tymczasem na Placu Zabaw zgodnie z programem, choć w trochę przyspieszonym tempie, odbywają się artystyczne występy, zawody sportowe, konkursy zręczności. Na parkiecie tańce, dokoła śmiech i muzyka.

Bawiono się do zmroku.

Gdy wieczór rozłożył nad miasteczkiem ciemne skrzydła, gdy zza boru wyjrzała pyzata

twarz księżyca, wystrzeliły w górę fajerwerki, rozsypując pióropusze iskier.

W ratuszu przebłyskują światłem okienne witraże, gra kapela, rozpoczął się bal.

Najpierw polonez, potem walc. Zebranko tańczy z doktor Pastylką wystrojoną w powiewną toaletę, pan Fiolka podryguje z rejentową, a pani Cholewkowa, z różą przy dekolcie, wywija w tańcu z pełnym animuszu małżonkiem.

Gdy zmęczony niezwykłymi przeżyciami Kukryk zapadał w błogą drzemkę, nad wieżą zakołował czarno-biały samolocik i za chwilę wylądował tuż obok niego.

– Halo, halo! – zawołała Bystrooka. – Cześć! Witam, witam i o zdrowie pytam!

– Ojej – ocknął się zdumiony – skąd się tu wzięłaś?

– A gdzież to ja nie trafię? Wszędzie trafić potrafię!

– Faktycznie...

– Powinszować, pogratulować, Kukrysiu!

– Dzięki, lecz zwracam ci uwagę, iż obecnie mówi się do mnie: Złoty Kurku.

– Niesamowite! Świetnie ci poradziłam z tą posadą, prawda? A co za to dostanę? Może grosik na szczęście, może jakie świecidełko?

– Chyba gwiazdkę z nieba.

– Mądryś! Sam spróbuj ją dziobnąć! – zachichotała balansując ogonkiem. – Zadowolony jesteś z siebie, co? Ale ze mnie też, prawda? Niesamowite! Nigdy nie odżałuję, że spóźniłam się na uroczystość, lecz ciągle ktoś mi przeszkadzał! Najpierw ta nudziara Krajka namówiła mnie na kąpiel w rzece, potem zagadałam się z kuzynką, która, wyobraź sobie, znalazła w polu prawdziwy pierścionek! Opowiedz mi, jak było?

– E, zmęczony jestem.

– Ale jutro opowiesz mi dokładnie, pamiętaj!

– Jak to: jutro? Masz tu zamiar nocować?

– No chyba! Prześpię się w dzwonnicy, nie myślę wracać po ciemku!

– Przecież księżyc świeci.

– Wszystko jedno. A zresztą, czy nie będzie ci raźniej ze mną? Bo przecież, zanim przywykniesz do samotności... Często będę cię odwiedzała. Ale, ale, koło szosy spotkałam tego drapichrusta Jeżyka!

– Tak? I co?

– Przegnałam włóczykija do matki!

– Słusznie. Żałuję jednak, że nie przekonał się, jak mnie ludzie honorują.

– A co się dzieje z Kwaczką?

– O, to osobna historia... – mruknął niechętnie. – Senny jestem, oczy mi się kleją...

– Niech tam, jutro mi opowiesz, śpij. Pośpiewam ci na dobranoc...

Ponad ludzi wywyższony
Złoty Kurek na kościele
patrzy się na wszystkie strony,
do roboty ma niewiele.
Wiatr go chłodzi, słonko grzeje,
stu barwami świat się śmieje – hej!

Gołąb przy nim siądzie czasem
lub przyleci sroka z lasu
i nagada mu, naplecie,
ile dziwów jest na świecie.
Noc koronę z gwiazd mu wkłada,
bajki do snu opowiada – hej!

KONIEC

Jadwiga Korczakowska

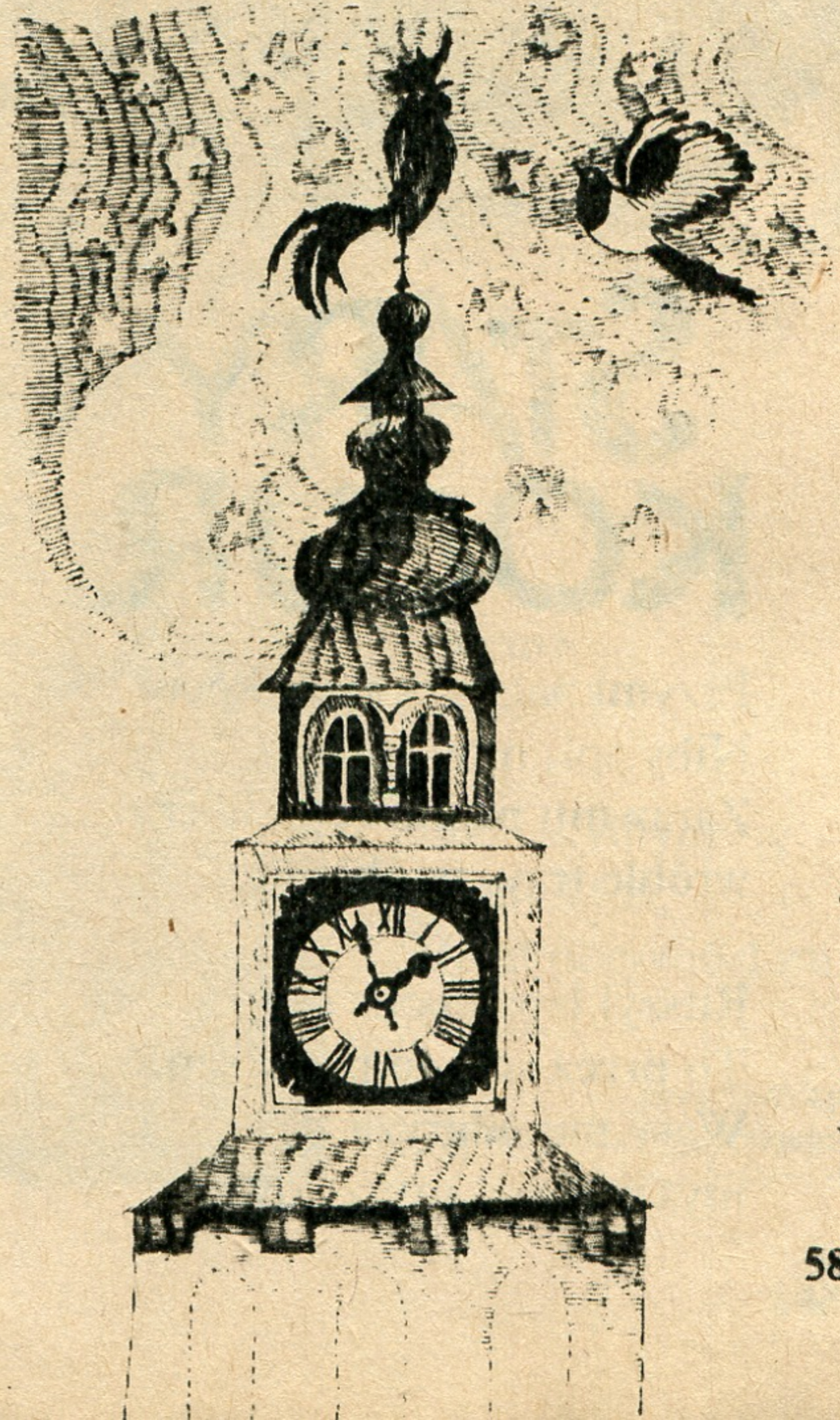

Rys. Hanna Krajnik

Rys. Bożena Truchanowska

STARY KOCUR

Przymknął oczy stary kocur.
Niby śpi, niby śpi...
Zaraz mu na głowę wskoczą
wróble trzy, wróble trzy.

Ruszył łapą kocur stary.
To przez sen, to przez sen...
Wąsy mu odgryzą zaraz
myszy dwie, myszy dwie.

Mucha mu nad uchem zrzędzi:
– Co za kot, co za kot?
Gospodyni cię przepędzi...
Nagle skok! Jaki skok!

Nad podwórkiem piórek parę.
Ojejej! Ojejej!
Miały szczęście wróble szare.
Myszy mniej, myszy mniej!

Przymknął oczy stary kocur.
Chytry lis! Stary lis!
Przezywają go na płocie
wróble trzy, wróble trzy!

Włodzimierz Melzacki

Bajka biała

Wczoraj spadł pierwszy śnieg. Wszystko dookoła stało się białe. Tak białe, że nie wiadomo, gdzie co się kończy, a gdzie zaczyna.

Biała kura zniosła białe jajko, upuściła w śnieg i już go nie odszuka. Białopióry kogut zapiał białą pieśń. Wzleciała pod strzechy, o tam: widzisz, wisi jak biały sopelek? Białej wiewióreczki białe wiewiórczątka skoczyły na białą gałąź – i już ich nie widać. Drzewa stoją białe – bielusieńkie. Brodzę po lesie, nie mogę poznać, gdzie drzewo, gdzie pień, a gdzie biały dzień.

Nad kominami wije się biały dymek. Atrament w kałamarzu także stał się biały – nawet nie wiem, czy przeczytasz, co tu napisałem. Chleb jest też biały, a kawę zabielamy śmietanką. Zabrałem się rano do czyszczenia butów, a tu pasta – biała.

Oto i nasza rzeka Gauja – lśni w słońcu pod białym śniegiem. Zarzuciłem wędkę, złowiłem białego łososia, a z niego wyskoczyło białe kaczątko (połknął je w całości – co za żarłok!). Schowałem w ogonie kaczuszki karteczkę i puściłem kaczuszkę – niech leci. Jeśli doleci do ciebie – nakarm ją, a wieczorem ogrzewaj jej brzuszek białą watą. Może zniesie złote jajeczko? Wtedy napisz do mnie kilka słów.

Oto mój adres:

Biały Kret

Brzeg rzeki Gaui.

P.S. Jeśli nie masz ochoty napisać, to namaluj, tylko – bez wykrętów! – samą białą farbą, bez jednej czarnej kreski.

Imants Ziedonis
Z łotewskiego przełożyła
Renata Reszelewska

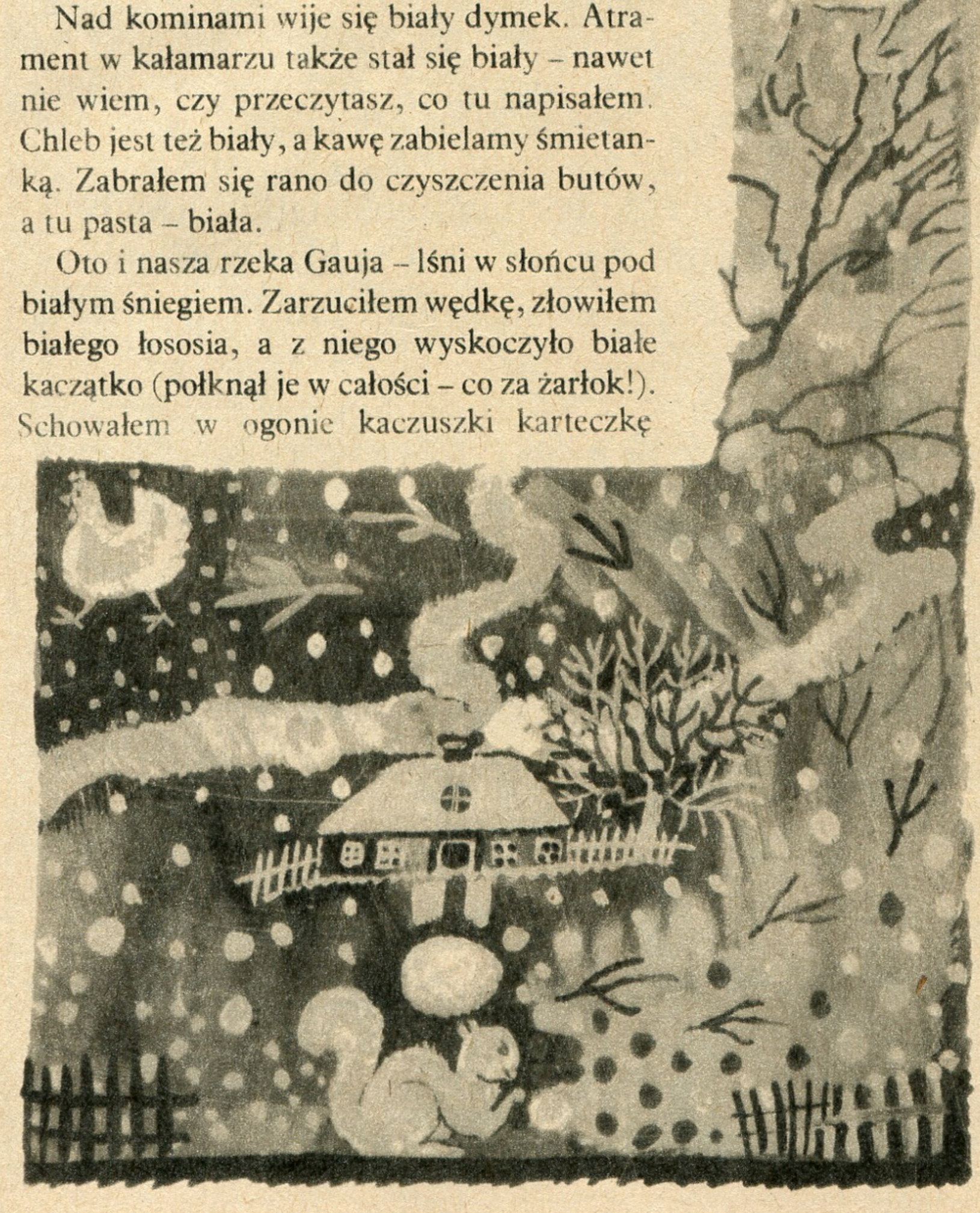

List

Napisał
gawronek
na puszystym
śniegu.

Że ten list
był do mnie,
wyczytałem
z niego.

Ptasim pismem
napisał,
obiema
nóżkami:

– Cieszyłbym się,
gdyby ktoś,
obiad przywiózł mi
saniami.

Erzsi Gazdag
Opracował z węgierskiego
Leszek Hensel

ABECELIN → 6 LAT

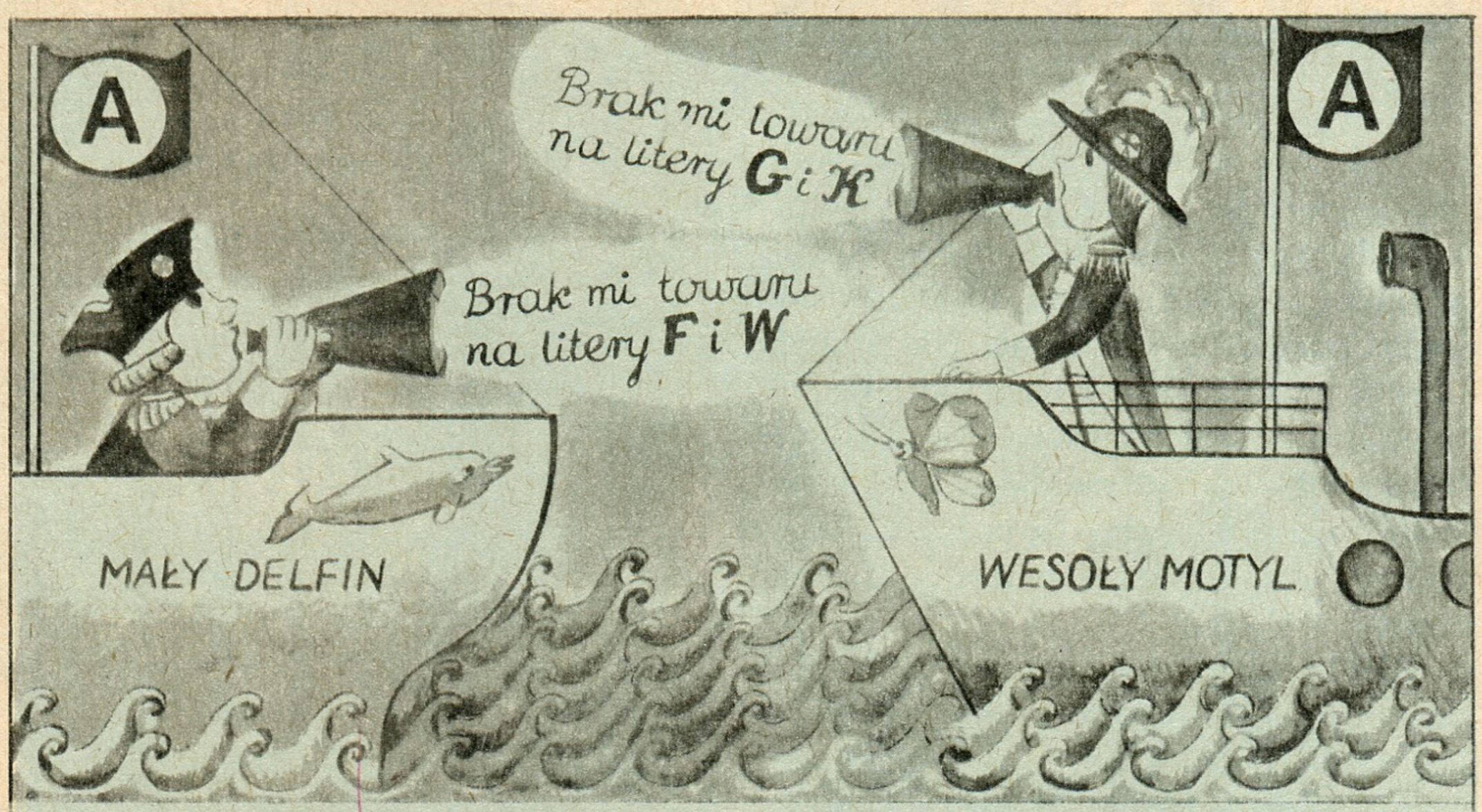

Te dwa statki to cała flota Abecelina. Na statku „Mały Delfin" stoi kapitan Hurum-Burum. Na statku „Wesoły Motyl" stoi admirał Łapu-Capu. Co woła admirał? O co prosi kapitan?

A TO ZAGADKA DLA WAS

Co trafi na statek z prawej strony, a co na ten z lewej?

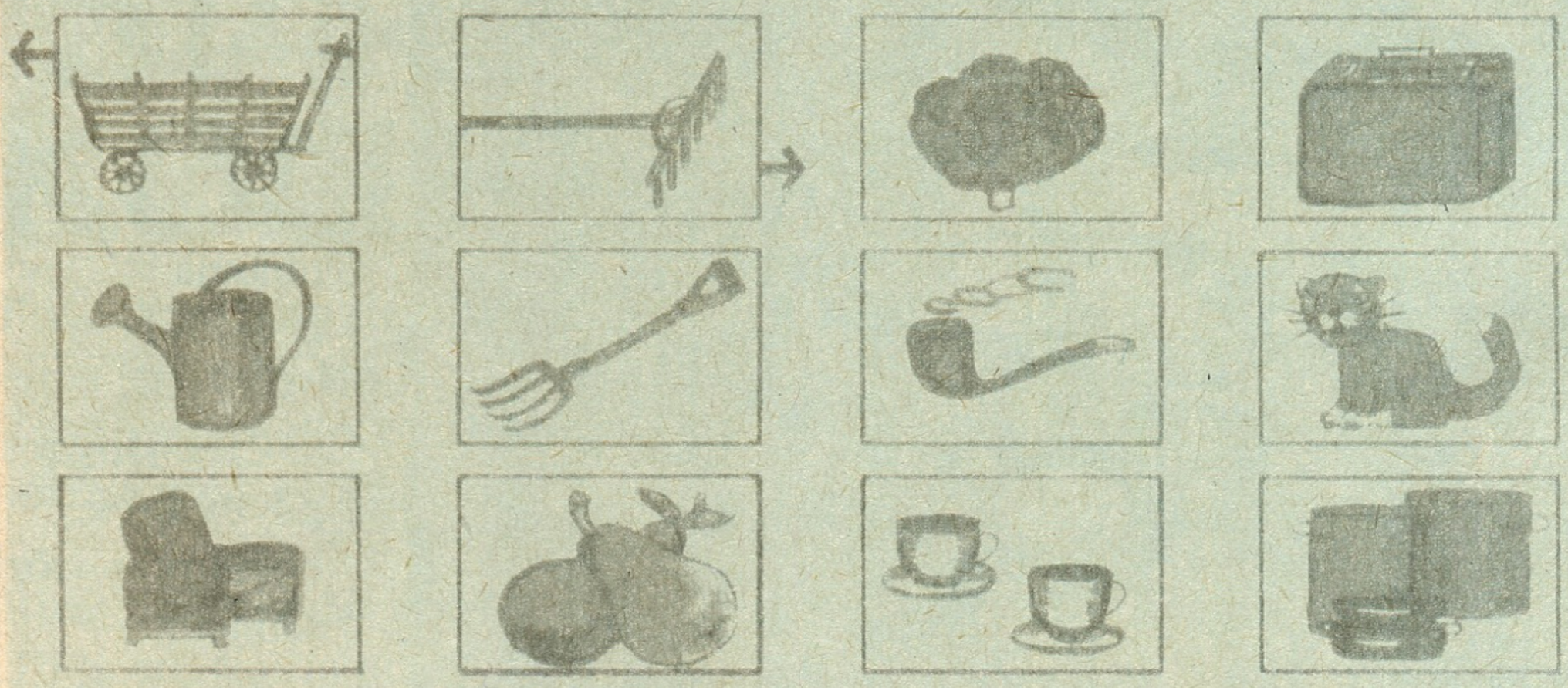

Dorysuj strzałki skierowane w odpowiednią stronę!

Tunel jest ciemny!
Ciemny jak noc!
Jakby na pociąg
spadł gruby koc!

W tunelu pociąg
zupełnie znika,
jak ptak w rękawie
pana magika!

A może z pióra
wyciekł atrament
i zmienił wagon
w ogromną plamę?

A może pociąg
to wielki kret?
Żal, że ten tunel
miniemy wnet!

KTO LUBI ZAGADKI W PODRÓŻY, TEMU SIĘ DROGA NIE DŁUŻY!

Lubią go żagle,
listki, wiatraki.
Ciekawe,
kto to taki?

Kto zębami
łatwo rozłupie
skarb ukryty
w twardej skorupie?

T R

W E Ø R K A

Rys. Hanna Nowak

Dalszy ciąg ze str. 579

– Wiem! – oznajmił Walicki zduszonym głosem, – Ptolemeusz! – To musi być chyba Ptolemeusz!

– Druga litera w słowie „kretyn" jest r. Zapamiętaj to sobie, bo ci się to przyda do prywatnego użytku. Jaki Ptolemeusz?

Słyszałem kiedyś o takim imieniu.

– Słyszałeś w teatrze o królewskiej dynastii egipskiej Ptolemeuszów.

– Być może... W każdym razie słyszałem. Bądź mądrzejszy!

– Będę mądrzejszy. To może być Stefan.

– O! To bardzo pomysłowe, przyznaję. – Ale to nie jest Stefan...

– Czemu uciekasz z dobrego śladu?

– Prosta rzecz! Rozmazany Stefan utworzyłby plamę z sześciu liter, byłby krótki, a długonoga litera f spłynęłaby bardzo w dół. O osły dardanelskie! Przecież to jest Stanisław.

– Dlaczego Stanisław jest lepszy?

– Bo plama rozciąga się wzdłuż, jest potężna i może pokryć dziewięć liter.

– Nie mam nic przeciwko Stanisławowi, tym bardziej że jedna litera ma kształt wysoki. To l!

– Tak. Widać dość wyraźnie l, a nad jedną literą, prawie w środku, ocalała kropka. Nie ulega wątpliwości, że w tym atramentowym sosie utonął jakiś Stanisław.

– A dlaczego ten Stanisław wygląda jakoś dłużej, jakby się rozpędził? Coś tu musiało być poza ostatnią literą!

Badali obaj bardzo długo wątpliwe miejsce kręcąc głowami, co bardzo pomaga przy myśleniu, poruszając mózg.

– Nic nie widać – rzekł Szot. – Basia musiała rozmazać rękawem Stanisława. Więc Stanisław?

– Nie może być inaczej. To doskonała zabawa takie odgadywanie. Przyznam się, że się po tobie nie spodziewałem takiej bystrości. Na oko blondyn – idiota, a jednak... spokojnie! Dziecko śpi... Szukaj dalej.

– Dalej jest łatwo. W tym miejscu ocalały trzy litery, widzisz? „Olsz"...

– To głowa nazwiska, do nóg niedaleko.

– I nogi też widać: „ski".

– Cała trudność, aby ujrzeć brzuch tej szlachetnej osoby. Ilu liter brak w środku?

– Chyba dwóch, na więcej nie ma miejsca. Zresztą, po co długo myśleć! To jest Olszewski.

– Bardzo do niego podobny... Więc razem byłoby: Stanisław Olszewski. Mamy go!

– Jeszcze go nie mamy. Przyznaję, że Olszewski sam się naprasza, aby go wciągnąć do tej awantury, jednakże równie dobre do tego prawa może mieć jakiś pan Olszowski. Olszowskich może być w stolicy równie tyle, co Olszewskich, a Olszewskich prawie tyle co olch na naszej rodzonej ziemi.

– Musimy się zastanowić, czy w brzuchu tego męża tkwi „e" czy „o"?

– Zastanówmy się! Jak ty myślisz?

– Ja myślę, że rozmazane „e" byłoby chude, rozmazane „o" musi zostawić plamę okrągłą, taką właśnie jak ta. Zgódźmy się, że Olszowski, ale to jeszcze nie wszystko. Skąd my możemy wiedzieć, czy to przypadkiem nie jest pani Olszowska?

– Jak to skąd? „ski" widać wyraźnie.

Szot pokręcił głową, niezadowolony.

– Przyznaję, ale po ostatniej literze jeszcze coś pływa w atramencie. Co to może być?

– Czy ja wiem? Pewnie zakrętas.

– Kto zakręca cudze nazwisko w kozi ogon? Przyznaję, że mnie to cokolwiek niepokoi, ale zbadamy jeszcze tę sprawę; najpierw musimy odczytać adres, a adres jest bardzo zapłakany.

– Warszawę widzę wyraźnie, „...szawa".

– Może być także Nieszawa.

– Nie może być, bo ta trajkotliwa dama, która wsadzała Basię do pociągu, ogłosiła, że ją wysyła do Warszawy. Szukaj ulicy. Czy ulica długa, czy krótka?

– Raczej krótka. Gdyby to były Aleje Jerozolimskie, trzeba by na jej zamazanie dwóch litrów mleka, a dziewczyna wylała jedynie szklankę. Poczekaj no! Coś tu świta na tej ulicy. Początku nie widać, bo błoto, ale u wylotu jest nieco czyściej. Mam, jak Pana Boga kocham, mam! Widzisz?

– Mało widzę, ale będę usiłował ci uwierzyć. Czy to długie i chude nie jest przypadkiem literą „l"?

Szot otarł pot z czoła, bystry bowiem jego rozum dawał mu znać w ten sposób, że jest u kresu wysiłku. Wpatrzył się drapieżnym spojrzeniem w niebieską plamę, w której jak rybki w mętnym jeziorku pływały litery.

Zakończenie na str. 590

Sportowa zagadka

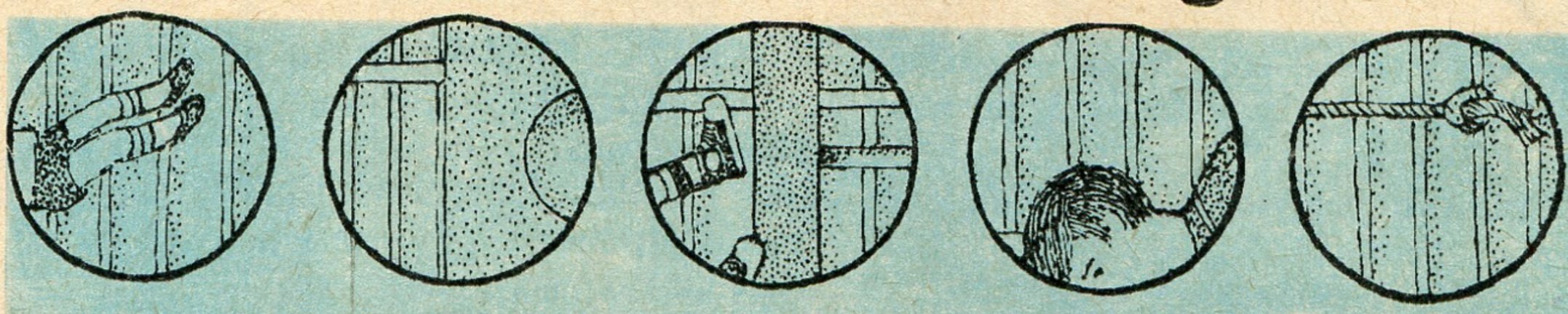

Odszukaj na dużym obrazku pięć szczegółów pokazanych na małych obrazkach.

Dalszy ciąg ze str. 588

– Widzę! – szeptał gorączkowo. – Widzę zarysy kilku liter. I kropkę nad jedną literą!

– To i!

– Genialnie to pomyślałeś, pało zakuta! Nie przeszkadzaj. Jest!

– Co jest? – spytał głucho Walicki.

– Jest: „...ielna"?

– Cóż może oznaczać innego niż „Chmielna"?

– Mógłbyś być detektywem – mruknął przyjaciel z głębokim uznaniem. – Ha! Pan Stanisław Olszowski mieszka przy ulicy Chmielnej. Patrz! Jak ona rozkosznie śpi i nie wie, że znaleźliśmy jej opiekuna, może wuja, może stryja? Jak jednak znaleźć tego ananasa przy ulicy Chmielnej? Numeru nie widać?

– Nie widać. Coś takiego połamanego tkwi tutaj, co przypomina 7, ale to niepewne.

– Jedna cyfra?

– Musiało być ze dwie, ale połączyły się w jedną plamę.

– Więc jakże znajdziemy tego pana? Trzeba będzie wzdłuż całej ulicy Chmielnej chodzić od domu do domu.

– Nie rób tego, bo gdy cię zobaczą z taką gębą, włóczącego się od domu do domu, zaaresztują cię. Szukajmy inaczej. Biegnij, bracie, i pożycz książkę telefoniczną.

Po chwili Walicki przyniósł opasłą księgę, którą zaczęli przeglądać z gorączkowym pośpiechem.

– Olszewskich jest około pięćdziesięciu płci obojga, ale żaden się nie nadaje. Jest nawet i Stanisław, ale nie mieszka przy Chmielnej. Całe jego szczęście... Policzymy Olszowskich. Anteczku, mam, mam!

– Trzymaj go! No i jakże?

Szot czytał:

– „Olszowski Stanisław, literat, ul. Chmielna 15".

– Literat? – zdumiał się Walicki. – Ależ ja go znam! To znakomity pisarz, grałem w jego sztuce.

– To ten? Patrzcie, patrzcie! Taki głośny, taki sławny, a tak długo trzeba go było szukać. Rozumiem nawet i tę siódemkę; ta żyrafa nie jest wcale siódemką, lecz jedynką. Wszystko się doskonale zgadza!

Walicki zazgrzytał zębami z wielkiej radości.

– Kamień spadł mi z serca – mówił patrząc na śpiące dziecko. – Gdybyśmy byli nie odnaleźli tego pana, trzeba by było odwieźć małą do tego miasta, w którym wsadzono ją do pociągu, albo prosić o pomoc policję. A wiesz, co uczyniłbym najchętniej?

– Najchętniej porwałbym tę dziewczynkę... Sam jestem na tym bożym świecie... Nigdy mi się nie wiodło... Zawsze w jakiejś ciemnej norze, zgryziony, skwaśniały i zły... Ja już samą gębą straszę ludzi. To nie twarz, to gniew żywiołów... Czy uśmiechnął się kto kiedy do mnie? Nie pamiętam. Może to dziecko, może ta dziewczynka uśmiechnęłaby się... O, gdybym był bogaty, gdybym mógł ją odziać i nakarmić... Basia, nazywa się Basia... O, gdybym ją mógł zatrzymać! Kamienie tłukłbym na drodze... Ale nie ma o czym mówić. Nie śmiej się ze mnie, chociaż to wszystko razem jest bardzo śmieszne...

– Ja wcale się nie śmieję! – szepnął młody aktor patrząc na nieoczekiwane wzruszenie dobrego człowieka, który udawał krokodyla. – Ja się nie śmieję... To naprawdę rozkoszne dziecko i niech je Bóg zachowa.

Milczeli długą chwilę, potem stary aktor ciężko westchnąwszy rzekł:

– Trzeba ją będzie zaprowadzić do pana Olszowskiego...

– Jeszcze dzisiaj?

– Tak, jeszcze dzisiaj. Nie ma jeszcze ósmej. Trzeba koniecznie, bo gdzie ją przytulimy?... Na tym barłogu? Czym ją nakarmimy? śledziem?

– O, zbudziła się! – zawołał Szot.

Basia, ujrzawszy ponurą i straszliwie wykrzywioną gębę „starego" swego przyjaciela, uśmiechnęła się do niego i wyciągnęła ku niemu ręce wołając:

– Chodź, chodź tutaj!

Stary niedźwiedź zarumienił się jak panna z wielkiego szczęścia i tak zgrzytnął z radości zębami, aż dziw, iż iskry się nie posypały.

Kornel Makuszyński

Co było dalej? Czy Walicki z Szotem dobrze odczytali rozmazane litery? Dowiecie się o tym z książki.

A jeżeli spodoba Wam się „Awantura o Basię", która jest również lekturą szkolną dla klasy III – to może poszukacie w bibliotece innych powieści Kornela Makuszyńskiego. Może wypożyczycie książkę „O dwóch takich, co ukradli księżyc" albo „Bardzo dziwne bajki"?

Trudna zagadka

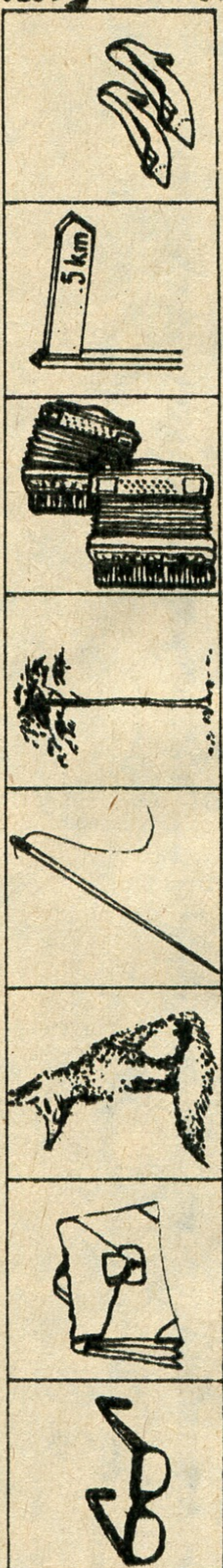

Nazwijcie i podpiszcie obrazki. Podpisy ustawcie w kolejności od najmniejszej do największej liczby liter. Pierwsze litery dadzą rozwiązanie.

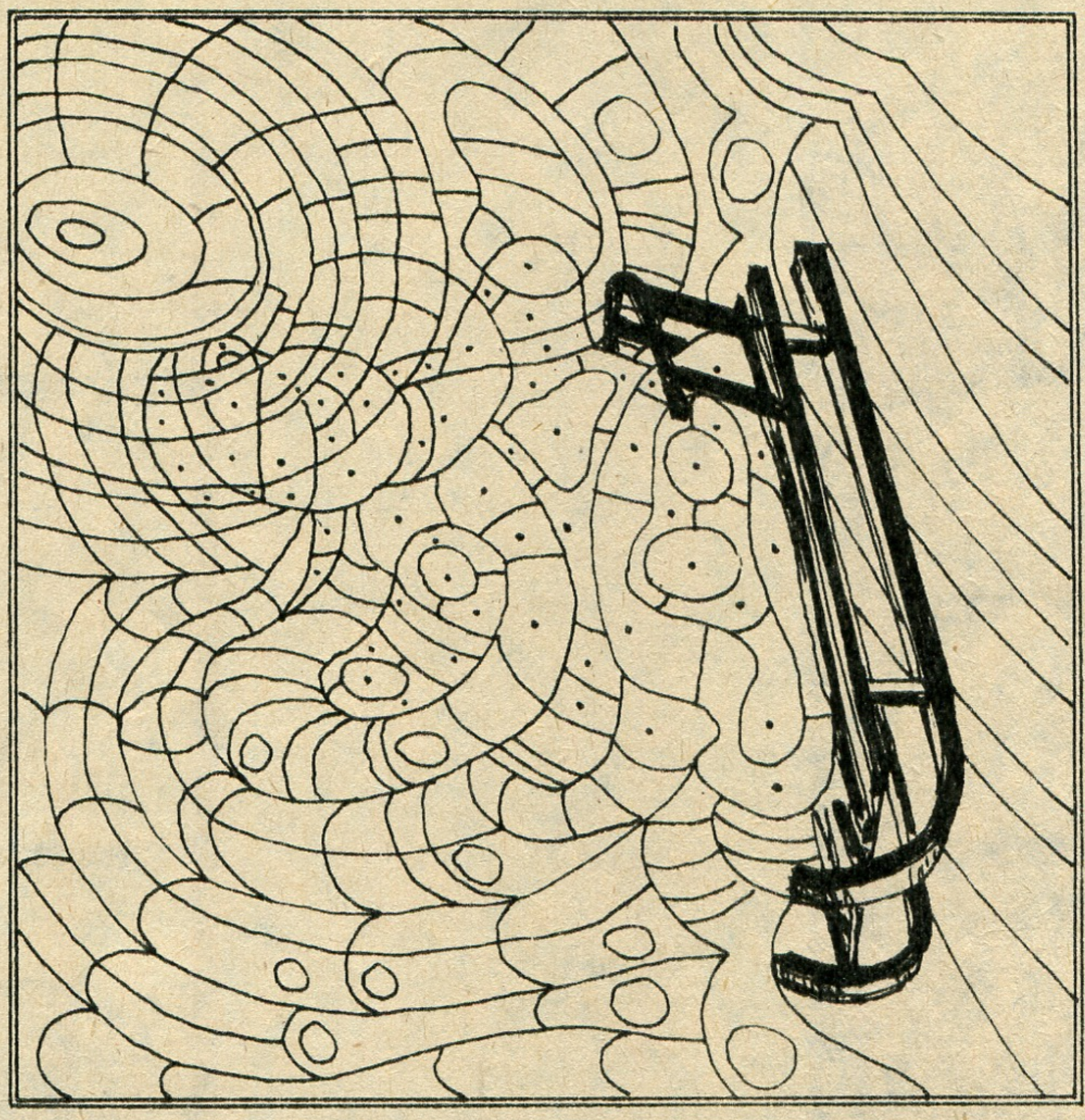

Kto jedzie na sankach? Dowiesz się, gdy zamalujesz pola oznaczone kropkami.

JAKIE TO OWADY

P≈Z

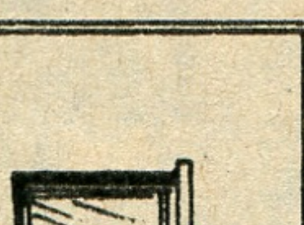

NO

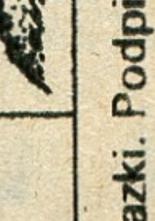

KA≈LE

DA≈MU

ZAGADKI

Gra się niby na pianinie,
bo i ona ma klawisze,
lecz melodia z niej nie płynie,
tylko stuk. Gdy stuka – pisze.

H. L.

Błyskawica, grom z nieba,
ale bać się nie trzeba.
Cóż to stoi na dachu,
co oszczędzi nam strachu?

H. L.

„ŚWIERSZCZYK" ● Skrytka pocztowa 380, ● 00-950 Warszawa ● Tel. 26-36-01 ● Wydawca: I.W. „NASZA KSIĘGARNIA", ● Warszawa, ul. Spasowskiego 4

ZESPÓŁ REDAKCYJNY: Bolesław Zagała (redaktor naczelny), Jan Fribes, Anna Kowalska, Maria Kowalska, Zuzanna Szymczyk, Magdalena Śliwińska, Halina Zakrzewska-Zaleska (kierownik artystyczny), Hanna Zielińska (sekretarz redakcji). RADA REDAKCYJNA: Zofia Słobodzian (przew.), Mira Jaworczakowa, Maria Jastrzębska-Łuszczkiewicz, Helena Gutowska (sekr.), Władysław Kozłowski, Joanna Papuzińska, Olga Siemaszkowa

Cena prenumeraty krajowej: kwartalnie 52 zł, półrocznie 104 zł, rocznie 208 zł. Prenumeratę na kraj przyjmują Oddziały RSW „Prasa-Książka-Ruch" oraz Urzędy Pocztowe i doręczyciele – w terminach: do 25 listopada – na styczeń, I kwartał, I półrocze roku następnego i na cały rok następny, oraz do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty – na pozostałe okresy roku bieżącego. Jednostki gospodarki uspołecznionej, instytucje i organizacje społeczno-polityczne składają zamówienia w miejscowych Oddziałach RSW „Prasa-Książka-Ruch". Zakłady pracy i instytucje w miejscowościach, w których nie ma Oddziałów RSW, oraz prenumeratorzy indywidualni, zamawiają prenumeratę w Urzędach Pocztowych lub u doręczycieli. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest droższa od prenumeraty krajowej o 50% dla zleceniodawców indywidualnych i o 100% dla zlecających instytucji i zakładów pracy, przyjmuje RSW „Prasa-Książka-Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie Nr 1153-201045-139-11 – w terminach podanych dla prenumeraty krajowej. Egzemplarze zdezaktualizowane można zamawiać w Centr. Kolp. Prasy i Wydawnictw RSW „Prasa-Książka-Ruch", ul. Towarowa 28, 00-840 Warszawa. Nadesłanych rękopisów Redakcja nie zwraca

Zakłady Graficzne „Dom Słowa Polskiego", Warszawa. Skład techniką fotoskładu. Papier rotogr. 70 g, rola 126 cm, kl. V. Nakł. 600 000 egz. Zam. 5962/CD L-101

Materiały oddano do drukarni 29.X.1981 r.

591

Indeks: 37804

W SPIŻARNI

W spiżarni lato
na nas czeka
zamknięte w słojach,
w szklanych wekach.

Jest w niej ogródek
i sad, i pole
ze swym zapachem,
smakiem, kolorem.

Otwórzmy słoik.
Warto spróbować,
jak będzie lato
w zimie smakować!?

Ryszard Przymus

Rys. Zdzisław Witwicki